

MEGALOMANIA



PEREKA

„Na dziś wystarczy” – myślał Profesor, patrząc jak asystenci powoli wylażą z wykopów i zbierają się wokół niego. Zapadał zmierzch. Ruszyli w kierunku bazy, omawiając znalezione dzisiaj eksponaty. Gawe człapał jak zwykle na końcu, nie starając się nawet słuchać tego, co mówi Profesor. Był zmęczony całodziennym kopaniem, a poza tym wydawało mu się, że przeoczył coś bardzo ważnego, i bezskutecznie usiłował teraz przypomnieć sobie, co to mogło być. Zamyślony nie zauważył, że idący przed nim Tyr zatrzymał się, wciągając kilkakrotnie powietrze. Dopiero w ostatniej chwili udało mu się go wyminąć.

Tyr węszył jeszcze przez chwilę, a potem krzyknął:

– Burza!

Grupa zatrzymała się. Tyr był znany ze swego bardzo czulego powonienia i chociaż co młodsi usiłowali odnaleźć w ciepłym wieczornym powietrzu znajomy zapach, Profesor nie czekał na ich opinię. Na zdaniu Tyra można było polegać, a poza tym mrok zapadał coraz szybciej. Pobiegli.

W obozie należało przede wszystkim odnaleźć latarniki. Tu Gawe znowu zamarudził. Jego latarnik był trochę zaspany, a może podekscytowany nadchodzącą burzą, którą teraz już wszyscy wyczuwali, tak, że upłynęła dłuższa chwila nim poczuł małe łapki czepiające się sierści. Prawdę mówiąc, mógł wziąć innego, ale po prostu lubił posługiwać się swoim latarnikiem.

W strefach zamieszkałych noc trwała bardzo krótko, więc niewiele było okazji do spacerów w ciemności. Teraz Gawe zatrzymał się na chwilę, patrząc na rozsypane po całym obozie poruszające się światełka. Najwięcej było ich przy zagrodach muków, gdzie przygotowywano transport płyt mających zabezpieczyć wy-

kopy przed zasypaniem. Doskonale znany obraz dużych szarych ciał, między którymi uwiijały się mniejsze postacie opiekunów i kopaczy, zmienił się nie do poznania. Światła, jedno jaśniejsze, inne znów bledsze, poruszały się płynnymi, harmonijnymi ruchami, by czasem na chwilę zniknąć przestonięte ciałem muka lub któregoś z kansów. Przygotowania nie trwały długo i wkrótce karawana ruszyła powoli w stronę wykopów.

Gawe nie mógł dłużej przyglądać się rozciągniętej linii światła; był odpowiedzialny za jeden z odcinków i musiał zdążyć na miejsce przed wszystkimi. Posuwając się długimi susami, dopędził i wyprzedził karawanę, potem nieco zwolnił. Zanim przyniesiono płyty, zdążył zaplanować rozmieszczenie dołów pozwalających na ostrożne cofnięcie się muków po założeniu tafli. Gdy kopacze skończyli pracę, odsunął się nieco i patrzył, jak muki powoli zginają nogi i wypelzają spod równo złożonej półprzezroczystej płyty z przetopionego piasku. Czuł ciężki zapach ich zmęczonych ciał. Można było wracać.

Znowu nadeszła fala dręczącego uczucia. Usiłował znaleźć jego źródło, ale doszedł tylko do tego, że jest ono związane z ostatnimi odkryciami. Zdążył właśnie pomyśleć, że powinien z kimś porozmawiać o tym wszystkim, gdy z łąka mignęło światło latarnika Stiva. Gawe uśmiechnął się lekko i przyspieszył kroku – Stiv również zawsze pracował ze swoim latarnikiem.

Spotkali się przed wejściem do domu Profesora, gdzie czekała już grupka asystentów. Właściwie wszystko było wiadome, burza zaczęła się przed świtem i przez cały następny dzień będzie padał deszcz, więc Profesor urządził naradę, mimo to wypadało poczekać, aż sam im o tym powie. Gawe stanął przy Stivie i cicho mruknął:

– Chciałbym z tobą dzisiaj pogadać. Późno już, ale to może być ważne. Profesor pewnie będzie chciał, abyśmy przygotowali na jutro sprawozdanie. Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

– Znalazłeś coś? – Stiv pomyślał, że stało się coś ważnego, bo Gave pierwszy raz zwracał się do niego z taką prośbą.

– Przyjdź do mnie, jak się to skończy.

Rzeczywiście nie mylili się. Profesor w kilku suchych słowach zawiadomił o jutrzejszej naradzie, prosząc jednocześnie o przygotowanie sprawozdań z postępu prac. Zaczęli się rozchodzić.

* * *

Gave, trochę skrępowany, zatrzymał się przed wejściem do domu Stiva, odczekał chwilę i zapukał. Odpowiedział mu wesoły głos zapraszający do środka. Odchylił ciężką kotarę i wszedł. Stiv leżał zwinięty w półkole, a koniec porośniętego długą sierścią ogona zakrywał mu nos i dolną połowę twarzy. Znad tej zasłony patrzyły uśmiechnięte oczy, zmrużone w jasnym świetle.

– Zgaś tego latarnika. Nie mieszkam tak daleko, mogłeś go nie brać ze sobą.

Gave poczuł nową falę onieśmienia. Wydał bezgłośnie polecenie i światło zgasło. Potem niechętnie mruknął:

– Nie lubi zostawać sam, więc go wziąłem.

Teraz Stiv był zakłopotany. Przyszło mu na myśl, że stosunek Gave do przyjaciół jest trochę inny, niż to bywa zazwyczaj. Oczywiście, wszyscy lubili latarniki, muki czy też bitsy, ale u Gave'a było to chyba coś innego. Może dlatego, że był samica. „Powinien mieć potomstwo” – pomyślał, a głośno powiedział:

– Przepraszam, nie najlepiej cię przywitałem. Ułóż się wygodnie. Pogadamy.

Milczeli przez długą chwilę. Stiv znowu myślał o Gave. Niby znali się dobrze, ale wiedział o nim niewiele. Przesunął się tak, aby położyć mu głowę na grzbiecie. Milczeli. Z tej ciemności, spokoju i milczenia powstawało uczucie dziwnej bliskości, jakiego doznawał dawno temu w domu rodziców. Stiv znowu się zamyślił. Do tej pory nie pragnął potomstwa.

Przerywanie na dwa okrążenia słońca pracy i zajmowanie się wyłącznie wychowaniem młodych nie było zbyt kuszącą perspektywą, chociaż wiedział, że jest to jego obowiązek. A z drugiej strony, gdyby Gave...

– Nie masz rodzeństwa i nigdy nie miałeś młodych – ostrożnie ni to stwierdził, ni to zapytał Stiv. Spokojny głos Gave potwierdził jego przypuszczenia.

– Urodziłem się w pierwszym i ostatnim miocie moich rodziców. Było nas sześcioro, a wychowałem się tylko ja jeden. Zmiany...

To wyjaśniało wszystko. „Jeżeli chociaż jedno z młodych umrze, zanim miną dwa okrążenia, rodzicom i pozostałemu przy życiu potomstwu nie wolno dalej rozmnażać się”. Tak mówiło Prawo, a Stiv znał je tak samo dobrze, jak każdy kans czy przyjaciel. Nawet nie pomyślał o tym, że można by go nie przestrzegać. Zresztą, za dobrze wiedział, jakie byłyby tego konsekwencje. Rodzice przestrzegający Prawa, a mimo to patrzący bezradnie na śmierć czy kalectwo swych dziwnych dzieci, nie byli w tych czasach rzadkością.

– Podobno kiedyś zdarzało się to dużo częściej. Nie myślmy o tym – powiedział Stiv trochę do siebie, trochę do Gave'a – Zresztą po tej wyprawie poza strefy zamieszkałe i ja powinienem się z tym liczyć. Lepiej powiedz, co cię do mnie sprowadza.

Gave ostrożnie dobierał słowa:

– Właściwie nie wiem... Mam jakieś dziwne uczucie niepewności. To się łączy z naszymi badaniami.

Teraz Stiv się zawahał.

– Gave, czy spojrzalesz na wykopy, gdy kazałem latarnikowi świecić najmocniej? To było tuż po założeniu wszystkich płyt. Nakrywaliśmy tylko miejsca, gdzie coś znaleziono, pozostałe były odsłonięte. Jeden muk został w tyle, więc chciałem mu oświetlić drogę. I wtedy zobaczyłem, że płyty leżą w równych szeregach, a odległości między nimi wydały mi się jednakowe. Profesor robił plan wykopów, więc pewnie ma to zaznaczone. Może o tym chce z nami mówić.

Gave zastanawiał się chwilę.

– Nie wiedziałem tego. Ale coś mi się przypomniało. Znalazłem dzisiaj cienki i płaski

kawałek metalu wygięty tak, że jego końce nie stykały się ze sobą. Metal wyglądał jak te nowe próbki, które pokazywał nam Profesor.

– Ależ on musiał tu leżeć przez wiele tysięcy okrążeń!

– Wyglądał tak samo jak tamten. Był twardy i dawał się zginać.

Otrzymanie metalu było największą sensacją w ostatnim okrążeniu i nie potrafimy jeszcze go kształtować – Stiv był coraz bardziej zainteresowany.

– Nie to jest jednak najważniejsze. Metal jak metal, będą go jeszcze długo badali, zanim powiedzą coś pewnego. Wydawało mi się, że już widziałem podobną rzecz, i teraz przypomniałem sobie. Pamiętasz ten dziwny przedmiot zrobiony z nieznanego materiału? Ten, który badał ostatnio Profesor?

– Niemożliwe – głos Stiva wyrażał raczej zdziwienie niż powątpiewanie.

– Jest bardzo podobny, ale kilka razy mniejszy. Leży przy szkielecie, a dokładniej mówiąc, obejmuje jego szyję.

– Profesor też uznał, że to ozdoba noszona na szyi – Stiv odzyskiwał pewność siebie.

Głos Gave'a stawał się coraz cichszy.

– Tak, ale szkielec ma rozmiary najwyżej dwutygodniowego kansa, a należy do osobnika dorosłego.

– Niemożliwe, musiałeś pomylić się, przecież nie odsłaniałeś całego szkieletu bez powiadomienia Profesora?

– Odkopałem tylko szyję i dolną szczękę. Zęby są zupełnie starte, a niektóre nawet wypadły. On był stary.

– Może to były zmiany?

– Kości są bardzo cienkie, mógł ważyć nawet sto razy mniej niż dorosły kans. Przy tak dużych zmianach nie powinien żyć długo.

– Nie wiadomo. – Stiv myślał chwilę. Ostatni znaleziony przez niego szkielec prakansa dorównywał niemal wielkością i ciężarem żyjącym współcześnie. Zazwyczaj znajdowano mniejsze. – Musisz natychmiast iść do Profesora. I tak będzie miał pretensję, że nie zawiadomiłeś go od razu po nakryciu wykopów. Może to jednak były zmiany? Nie znali jeszcze Prawa...

– Tak, nie znali Prawa, ale za to znali metal i umieli go kształtować, znali też dziwny materiał... – Teraz Gave mówił głośno.

– ... i cmentarze – dokończył Stiv.

– Co?!

– To jest cmentarz.

Pamięć Gave podsunęła mu wreszcie obraz będący źródłem jego niepokoju. Duży popękany kamień, który musieli usunąć, zanim dotarli do znaleziska, miał regularny kształt i gładkie powierzchnie.

* * *

Czas rozpoczęcia narady dawno już minął, ale zebrani niezbyt się niecierpliwicko. Wszyscy wiedzieli, że w nocy Gave i Stiv obudzili Profesora, mówili z nim do rana, a potem ruszyli pędem w kierunku wykopów. Nieliczni świadkowie z upodobaniem opisywali zupełnie niepoważny obraz Profesora usiłującego biec tak szybko jak Gave czy Stiv.

– Gonili tak, że tylko im uszy klapały – opowiadał Har. – Profesor dwa razy zatrzymał się, żeby strzepnąć wodę, mruknął coś i znowu pobiegł. Mogli chociaż poczekać, aż trochę przestanie padać.

– Pewnie niedługo wrócą. Ciekawe, co oni tam znaleźli? Wczoraj ani Gave, ani Stiv nie rozmawiali z Profesorem, ale w nocy owszem – nawet obaj jednocześnie.

– Stiv musiał najpierw omówić to z Gave, albo Gave ze Stivem – mruknął Har z przekąsem.

Ktoś roześmiał się, ale zaraz ucichł. Na salę wszedł Profesor, a za nim wsunęli się Gave i Stiv. Wszyscy trzej byli zupełnie przemęczeni i bardzo brudni. Widać było, że są zmęczeni. Profesor wyszedł na środek, odczekał chwilę i zaczął mówić.

– Mili moi! Przygotowując wnioski na dzisiejszą naradę, nie wiedziałem o bardzo wielu rzeczach. Zanim opowiem wam o nich, chciałbym podsumować znane wszystkim fakty. Po pierwsze – znajdujemy się na obszarze leżącym poza strefą zamieszkałą. Odkrycia szkieleców prakansów dokonała przypadkowo grupa poszukiwaczy gligu, występującego tutaj w znacznych ilościach. Po drugie – do tej pory

wydobyliśmy dziesięć szkieletów. Wszystkie one należą do prakansów, choć różnią się znacznie między sobą. Wyjątek stanowią trzy, średniej wielkości szkielety. Prakanasy, do których należały, były do siebie podobne bardziej, niż to bywa obecnie w przypadku rodzeństwa. Każdy z nich prawdopodobnie we wczesnej młodości został pozbawiony całkowicie ogona. Odznaczają się one również nieprawidłową budową kości szczęki: dolna część twarzy jest skrócona, podobnie jak obserwujemy to współcześnie. Wśród pozostałych siedmiu szkieletów każdy jest inny. Egzemplarz znaleziony przez grupę Stiva jest największy i prawie dorównuje nam wielkością. Pozostałe są mniejsze. Zaznaczam, że wszystkie szkielety należą do osobników dorosłych. O szkielecie znalezionym przez grupę Gave'a będę mówił osobno. Na podstawie tego bardzo pobieżnego przeglądu nasuwają się następujące pytania...

Profesor mówił dalej. Niektórzy zaczęli notować.

* * *

Rakieta kończyła szóste okrążenie. Bill siedział wygodnie rozparty w miękkim fotelu. Z umieszczonego nad nim głośnika płynął monotony głos:

– Rzym nie odpowiada... Paryż nie odpowiada... Londyn nie odpowiada...

– Lądujemy w Londynie. To znaczy na miejscu, gdzie był Londyn – poprawił się po chwili.

Komputer recytował dalej:

– Kair nie odpowiada... Moskwa nie odpowiada... Tokio nie odpowiada...

Przez chwilę pracowały hamownice.

– Nowy Jork nie odpowiada... Los Angeles nie...

– Przestań – krzyknął Bill. Głośnik umilkł. „Dlaczego się wściekam?” – myślał. – „Minęło sto tysięcy lat, więc kto mnie ma witać? Orkiestra dęta i dziewczynki w ludowych strojach? Ostatecznie to wszystko nie jest taką wielką niespodzianką. Nikt nie wraca po stu tysiącach lat do tego, co zostawił. Po stu tysiącach lat w ogóle się nie wraca”.

Rakieta osiadła powoli.

– Raport – powiedział Bill.

– Dwudziestokrotny wzrost średniego tła. Skażenie długożyciowymi izotopami. Pod powierzchnią stwierdzono istnienie silnych źródeł promieniowania. Wszystkie pozostałe parametry korzystne. Szczepionki przygotowane.

„Co oni tu wyprawiali” – myślał Bill. – „Przecież jeszcze przed moim odlotem uczeni publikowali prace na temat wzrastającej liczby mutacji. To jest dwadzieścia razy większe w porównaniu do ostatnich znanych mi wartości, a ile tu było w okresie szczytowym? Obawiam się, drogi Billu, że czeka cię nowa wyprawa badawcza”.

Usiłował żartować, ale było mu smutno. Świat, od którego uciekł, ofiarował mu niewiele, tylko opinię lekarską: „Nieprzystosowany. Obniżony próg wytrzymałości na ból, hałas i obciążenia psychiczne”, wieloletni pobyt w sanatoriach i wreszcie – Wielką Szansę: możliwość lotu do gwiazd, prawo wyboru między życiem w klinice, hibernacją na Ziemi i hibernacją w Kosmosie. Wybrał oczywiście to ostatnie. A teraz wrócił.

Ze ściany wysunął się podajnik, na którym leżały dwie małe tabletki. Bill machinalnie przełknął je i powiedział:

– Opiekę lekarską mam tu pierwszorzędną. Nic dziwnego zresztą, jestem przecież jedynym pacjentem.

– Jesteś zmęczony i powinieneś iść spać.

Bill podniósł się i przeciągnął.

– Chyba masz rację. Obudź mnie, gdyby się coś stało. Cześć! – Poszedł do swojej kabiny i położył się. Napięcie powoli mijało, był senny. Przez zasłonę snu docierał głos Komputera:

– Niezidentyfikowane obiekty w odległości około dwudziestu kilometrów. Prawdopodobnie zwierzęta. Jeżeli nie zmienią kierunku, będą tu w ciągu godziny.

To wystarczyło, aby Bill całkiem się rozbuździł.

– Wzmocnić osłonę. Przygotować środki obrony. Tylko obrony – podkreślił. „Ciekawe” – myślał. – Ludzi nie ma, a są zwierzęta. A może to ludzie cofnięci w rozwoju? Ostate-

cznie brak miast, łączności radiowej, i widocznych śladów rozumnej działalności oznacza tylko koniec znanej mi cywilizacji. Co się z nimi stało?"

Przeszedł do sterowni.

– Obraz.

Komputer posłusznie spełnił jego życzenie. Cała ściana zajaśniała zielenią łąki zalanej słońcem. W środku ekranu widać było kilkanaście dużych zwierząt. Niektóre z nich poruszały się na dwóch, inne na czterech nogach.

– Obiekty nadają w zakresie ultradźwięków. Sygnały są uporządkowane.

To nie byli ludzie. Wielkie ciała porośnięte długimi, spływającymi do ziemi włosami, duże głowy osadzone na potężnych szyjach. I te barwy: od szaroniebieskiej przez białą, żółtą, pomarańczową, wszystkie odcienie brązu, aż do głębokiej czerni.

– Czy znasz podobne zwierzęta? – zapytał Bill.

– Nie znam. Przeszkadzasz mi – w głosie Komputera brzmiała uraza.

Bill zamilkł. Wiedział, że Komputer stara się zarejestrować jak najwięcej sygnałów, a jednocześnie pracuje nad ich rozszyfrowaniem.

„Co to są za zwierzęta?” Bezradna pamięć podsuwała mu tylko nic nie znaczące nazwy: słonie, hipopotamy, tygrysy... „Przecież niektóre z nich oglądałem na rysunkach w książkach z bajkami. Chyba to tygrysy, ale w jakiej mierze można opierać się na tamtych ilustracjach? Zresztą tygrysy wyginęły na wiele setek lat przed moim odlotem, podobnie jak słonie i hipopotamy. Są bardzo duże. Może to nosorożce? Gdy byłem mały, pojechałem kiedyś do Centralnego Muzeum Zwierząt Wymarłych i Wymierających. Były tam konie, krowy, owce, świnie, a nawet dwie zasuszone muchy, ale takich zwierząt na pewno nie widziałem. Sto tysięcy lat. Jaki gatunek przetrwał mimo wieloletniej hegemonii człowieka, mimo wzrostu promieniowania i zmiany warunków klimatycznych?"

Zwierzęta na ekranie były coraz lepiej widoczne. Szły teraz wolniej i jakby niepewnie.

„Z góry musi to wyglądać jak żywy, wielobarwny dywan” – myślał Bill. – „Tego prawie czerwonego można dostrzec chyba z odległości

dwóch kilometrów. Nie mają wrogów, o to już my zadbaliśmy. Na pierwszy ogień poszły wielkie, dzikie drapieżniki, potem te mniejsze i duże zwierzęta roślinożerne – pięćset lat przed moim urodzeniem nie było już ani jednego. Potem wynaleźli pola planktonowe i wymarły zwierzęta hodowane na mięso, pozostały tylko te, które trzymali ludzie dla rozrywki, a ich było niewiele”.

Przypomniał sobie widzianą w dzieciństwie małą, żółtą kulkę, która podskakiwała i ćwierkała.

– To jest sztuczne? – zapytał.

– Nie synku. To jest kanarek – odpowiedział wtedy ojciec. Potem pokazali mu jeszcze złote rybki. W sanatoriach nie było zwierząt i Bill nigdy więcej ich nie spotkał.

– Zaszczep się i zjedz śniadanie – oznaczało to, że Komputer kończy pracę.

Bill przeszedł do gabinetu lekarskiego, podsunął rękę pod uniwermed, a potem skierował się do kuchni. Niewymyślne śniadanie nie trwało długo. Przelykając ostatnie kęsy, wrócił do sterowni.

– Skończyłem – oznajmił Komputer. – Jeżeli masz ochotę, możesz iść porozmawiać z nimi. Zastanawiają się, co to jest, i mają nawet ciekawe koncepcje. Są przyjaźni. Potem dam ci dokładne tłumaczenie.

– Kim oni są? Co się stało z ludźmi?

– Nie wiem. Brak danych.

– Idę. Otwórz mi.

Był przy wyjściu, zanim kłapa przybrała poziome położenie, zmieniając się w platformę, na której mógł wygodnie stanąć. Poprawił mikrofon i nadajnik łączący go z Komputerm. Zwierzęta, widząc ruch, cofnęły się trochę, a potem znowu zbliżyły półkołem otaczając raketę. Rzeczywiście wyglądały sympatycznie.

– Kim jesteście? – zapytał.

– Jesteśmy kansy. A kim ty jesteś?

– Ja jestem człowiekiem. Nie widzieliście nigdy ludzi?

– Nie, nigdy nie widzieliśmy nikogo takiego jak ty. Masz bardzo dziwny zapach. Skąd go wzięłeś?

– Odszedłem stąd bardzo dawno temu, a teraz wróciłem.

- Przecież tutaj nie ma takich jak ty.
- Byli, na pewno byli. Co się z nimi stało?
- Nie wiemy. Prowadzimy kroniki od kilku tysięcy lat. Nie ma w nich twojego zapachu.
- Czy znacie całą Ziemię?
- Znamy nawet strefy zakazane, ale tam nie ma ludzi. Zejdź do nas.
- Możesz zejść. Włączam pole indywidualne. Otwieram przejście w osłonie w chwili zero. Dziesięć, dziewięć...

Bill zeskoczył z platformy i ruszył w kierunku zwierząt. Naprawdę były śliczne. Stały teraz na tylnych nogach podwinawszy ogony tak, że tworzyły śmieszne poduszeczki na pierśsiach i brzuchu.

- To, co stoi za tobą, to twój przyjaciel?

Komputer skomentował tłumaczenie:

- Uwaga. Słowo użyte nie ma odpowiednika w języku ludzkim. „Przyjaciel” tylko w pewnym stopniu oddaje jego znaczenie.

Bill odwrócił się. Za nim nie było nikogo. Na tle nieba rysował się tylko ciemny, wydłużony kształt rakiety.

- Co to znaczy: „przyjaciel”?
 - Przyjaciele robią to, czego my nie potrafimy: świecą w ciemności, podnoszą ciężary, przesyłają wiadomości... Bez nich nie mogliśmy żyć.
 - Przyjacielem nazywacie maszynę?
 - Co to znaczy maszyna?
- Bill wydał polecenie:
- Komputer. Przyślij transportowiec.

Komora bagażowa otworzyła się i po chwili wypelzła z niej długa platforma umieszczona na gąsienicach. Gdy przeniknęła przez osłonę siłową, zatrzymała się i Bill lekko wskoczył na jej powierzchnię.

- Gdzie to ma głowę? Jak tym kierujesz? – pytały kansy.
- Maszyna nie ma głowy. Kieruję nią głosem.
- Nie ma głowy, a rozumie, co do niej mówisz?
- Ona nie rozumie. W środku ma zapisane, co zrobić, gdy powiem jakieś zdanie. Nie potrafię wam tego lepiej wytłumaczyć.
- To pokaż. Zrób tak, żeby ruszyła i skręciła w lewo.

- Chcecie się ze mną przejechać? Może któryś z was wejdzie tu.

Żółty kans wskoczył na transportowiec. Ruszyli. Po gładkiej łące Bill mógł jechać z szybkością ponad sto kilometrów na godzinę, ale ograniczył się do czterdziestu. Kansy towarzyszyły mu biegnąc długimi susami. Na miejscu spotkania pozostał tylko jeden brązowy osobnik. Po krótkiej przejażdżce Bill zawrócił.

- Maszyna się zmęczyła? – znowu pytały kansy.

- Maszyna się nie męczy. Czasem tylko bywa popsuta.

- To znaczy, że umiera?
- Ależ nie. Trzeba ją wtedy naprawić. Czy wy naprawdę nie znacie maszyn?

- Nie. Mamy tylko przyjaciół.

Billowi wydawało się, że w słowach tych odczuwa smutek. I wtedy zrozumiał wszystko. Rozpatrywał możliwość wojny jądrowej i bakteriologicznej, degeneracji i inwazji przybyszów z Kosmosu, ale nie pomyślał o tym, że ludzie mogli po prostu odejść. Zostawić skażony piasek i skażoną wodę płynącą betonowymi ściekami. Skąd kansy mogłyby mieć maszyny, jeśli nawet glinę przywożono z Marsa? Musieliby chyba przebierać atom po atomie, żeby znaleźć żelazo, siarkę, miedź, ołów, nie mówiąc już o rzadziej występujących pierwiastkach. Tyle razy całą powierzchnię Ziemi przeczesywały automaty poszukiwawcze, że nie było na niej nieznanego kawałka metalu czy rudy, ważącego więcej niż kilogram. Mogliby wykorzystać drewno, ale drewno przywożono z Wenus, a drzewa nie chciały rosnąć przy istniejącym zapyleniu atmosfery. Surowce energetyczne? Węgiel skończył się w dwudziestym drugim wieku, ropa naftowa jeszcze wcześniej. Naturalne pierwiastki promieniotwórcze? Sam pomysł był śmieszny. Pod koniec dwudziestego trzeciego wieku za rudę uważano minerał zawierający zaledwie trzy razy więcej uranu niż przeciętna skała. Kansom pozostały tylko zwierzęta. Bill przypomniał sobie, że ludzie dawno temu wykorzystywali siłę koni czy wołów, a w takim razie słowo „przyjaciel” oznaczałoby po prostu zwierzę hodowlane. Zapytał o to Komputer, ale ten zaprzeczył:

– Znam to pojęcie, ale im chodzi o coś innego.

Bill znowu zwrócił się do kansów.

– Czy przyjaciele to istoty żywe?

– Tak.

– Hodujecie je i używacie do pracy?

– Co to znaczy hodować?

– No, opiekować się nimi, dawać jeść, budować dla nich domy.

– Nie rozumiemy. My opiekujemy się nimi, a oni nami.

– Ale wy jesteście wyższym gatunkiem?

– Co to znaczy wyższy gatunek?

– To znaczy, że wy ustalacie inne prawa dla siebie, a inne dla przyjaciół.

– Prawo jest jedno i dotyczy wszystkich, którzy żyją w strefie zamieszkałej.

– A jeżeli zwierzę żyje poza tą strefą?

– Wtedy nie jest przyjacielem.

– A jeśli chce nim zostać?

– Musi podejść do strefy zamieszkałej, zgłosić się u dozorcującego, a potem przebywać przez jedną dwudziestą średniego czasu życia swojego gatunku na wyznaczonym terenie.

– Nie może iść od razu do strefy zamieszkałej?

– Tego nigdy nie wolno robić. Tak mówi Prawo.

„Bronią się przed skażeniem” – pomyślał Bill. – „Zupełnie sprytnie to wymyślili, tylko... jak długo będzie trwała ta sielanka? Wszyscy są równi, wszyscy mają jednakowe prawa. Ciekawe, co oni jedzą?” Zapytał o to.

– Jedzenie dla wszystkich dają pola. Ono tam ciągle powstaje.

A więc pola planktonowe pozostały. Obraz społeczeństwa kansów i ich przyjaciół, jaki sobie stworzył na podstawie tej rozmowy, nie był wewnętrznym sprzeczny. Pola planktonowe karmiły kiedyś trzysta miliardów ludzi. Minie jeszcze wiele wieków, zanim na Ziemi znowu będzie tyle istot żywych. A ludzie już nie wrócą, bo i po co? Nawet, gdy za setki tysięcy lat biosfera zregeneruje się, nigdy już nie będzie złóż surowców mineralnych. Może właśnie po tym można rozpoznać planety, na których żyli dawniej ludzie? „Czy mam ich szukać” – myślał Bill. – „W układzie słonecz-

nym i w układzie Proximy na pewno nie ma ludzi, bo przecież przylatywaliby czasem na Ziemię. A jeśli nawet znajdę ich, to co wtedy? Kim oni są teraz?”

Bill popatrzył na milczące kansy. One też mu się przyglądały.

– Mówisz, że odeszdeś stąd wiele lat temu. Czy wiesz coś o prakansach? – Po raz pierwszy odezwał się brązowy kans, jedyny, który nie pobiegł za platformą transportową.

– A co wy o nich wiecie?

– Znaleźliśmy ich szkielety, a przy nich wyroby z metalu, jakich jeszcze nie potrafimy sporządzać. Byli na bardzo wysokim szczeblu rozwoju, wiele wyższym od naszego, ale potem kultura ta musiała zagać, bo w kronikach nie ma o nich żadnej wzmianki. Jeśli żyłeś dawno temu, to musiałeś coś o nich słyszeć.

– Musiałbym zobaczyć te szkielety. Być może, nazywaliśmy je zupełnie inaczej.

– Chodź z nami. Pokażemy ci! – Wydawało się, że brązowy kans jest uszczęśliwiony.

– Poczekajcie. Nie umiem biegać tak szybko jak wy. – Bill wskoczył na stojący obok transporter.

Stanęli przy jednym z wykopów. Profesor powiedział:

– To jest najciekawsze nasze znalezisko. Coś ci pokażę. – Zszedł na dół, a po chwili wrócił niosąc kawałek żółtego metalu, wygięty na kształt obręczy.

– Zobacz, jakie to ładne.

Bill delikatnie odebrał od niego znaleziony przedmiot i zdmuchnął osiadły na nim pył. Na gładkiej powierzchni błysnął napis „Nazywam się Perelka”. Człowiek pochylił się nad wykopem. W dole leżał świetnie zachowany szkielet karłowatego pinczerka.

– I wtedy Bill roześmiał się. Śmiał się tak, że musiał usiąść na brzegu wykopu, a grube łzy spływały mu po twarzy. Bo jakie jeszcze hipotezy naukowe mogli wysnuć ci zmutowani potomkowie psów, badając londyński cmentarz swoich przodków?...

Minęła dłuższa chwila, zanim podniósł wzrok. Złota głowa Gave'a przesłoniła mu słońce.

– Czy mógłbym zostać waszym przyjacielem? – zapytał człowiek.